

NUMER POŚWIĘCONY MORZU

# KAMENA

miesięcznik literacki

ROK III

Nr. **10**

## MIESIĘCZNIK LITERACKI

CZERWIEC 1936 R.

## SPIS TREŚCI NUMERU:

ZBIGNIEW JASIŃSKI	O poezji marynistycznej str.	193
HALINA BRODOWSKA	Wydmy . . . . .	198
OLGA DAUKSZTA	Matiole . . . . .	199
WANDA KARCEWSKA	Obietnica zmroku . . . . .	199
JERZY PIETRKIEWICZ	O morzu . . . . .	200
EDWIN HERBERT	Już czas . . . . .	201
MIECZYŚLAW LISIEWICZ	Księżyc nad zatoką . . . . .	201
ALEKS. BAUMGARDTEN	Ballada o macie szalonym . . . . .	203
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK	Rybak . . . . .	203
ZDZISŁAW POPOWSKI	Sobie samemu . . . . .	204
WACŁAW MROZOWSKI	Kapitanie bez gwiazd... . . . .	205
JAN SMREK	W przydrożnej karczmie . . . . .	206
ŚWIAT. HORDYŃSKYJ	W porcie . . . . .	207
O. WŁYŻKO	Codzienne morze . . . . .	207
O. WYSZNIA	Noc krymska . . . . .	207
ZBIGNIEW JASIŃSKI	Fragm. z pow. „Biczmen“ . . . . .	208
JULJUSZ ŻUŁAWSKI	Fragm. z pow. „Wyprawa o zmierzchu“ . . . . .	210
KAZ. AND. JAWORSKI	Przegląd poezyj . . . . .	212
Noty . . . . .	. . . . .	214

Wkładki linorytowe ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:

1) Motyw morski.

2) „Nasze okno na świat”

Redakcja: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawnictwo i Administr.: Zenon Waśniewski, Chełm Lub.

Reformacka 15 B.

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr.  
Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym (niebieskim). Numer okazowy „Kamena” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 50 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

Opóźnianie w płaceniu prenumeraty powoduje opóźnienie w wysyłce pisma ze względu na wysoką opłatę pocztową numerów jako druków.

CENA NUMERU 50 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



# k a m e n a

## miesięcznik literacki

rok III

czerwiec 1936 r.

nr. 10 (30)

### O POEZJI MARYNISTYCZNEJ

Właściwie niema żadnej poezji „marynistycznej“ tak, jak niema „urbanistycznej“ czy „proletarjackiej“. Poezja bowiem jest jedna, — poezja bowiem jest w literaturze pięknej tą najlepszą jej częścią, która w sposób najbardziej zbliżony do ideału, w sposób rytmiczny i śpiewny — obrazuje naszą wrażliwość, uzmysławia nasze estetyczne wzruszenia na piękno, odzwierciedla nasze przeżycia w sposób piękny

Różne są tylko tematy, poruszane przez poetów, — i gdybyśmy twórczość poetycką chcieli rozczłonkować na grupy tematyczne, by tak ją klasyfikować, — to doszlibyśmy do absurdu. Obok bowiem twórczości, poświęconej wyłącznie morzu, czy górom, czy miastu, czy proletarjatowi, — niewątpliwie znaleźlibyśmy cały szereg utworów, opiewających np. tylko zwierzęta, lub tylko rośliny, — a wówczas — czy te odrębne tematami rodzaje twórczości — moglibyśmy bez uśmiechu nazwać poezją „animalistyczną“ czy „botaniczną“?

Jednakowoż, z racji naszych zainteresowań, w tej chwili wyłącznie i ściśle morskich, — jest nam wolno, nie zaprzeczając istoty poezji wogóle, opuścić cudzysłów przy przymiotniku marynistyczna, by zająć się specjalnie tą dziedziną twórczości pięknej, której źródłem natchnień stało się — morze.

Dotychczas — niestety — niewieleśmy wiedzieli o marynistyce polskiej.

Karygodna, gnuśna niechęć naszych przodków do morza — siłą rzeczy musiała wyręć smutne swe piętno i na literaturze. Na przestrzeni wielu wieków historii Polski załedwie kilka znalazłoby się nazwisk pisarzy takich, którzy morze widzieli ze strony lepszej, niż widział je ogół, — a i te nazwiska toną w nurtach powszechnej niechęci.

Coś tam wprawdzie wspominał z radością o morskiej wyprawie chrobrego króla zbutwiały dziś w starych pergaminach — Gal bez nazwiska, Marcin.

Ale inaczej już gardłowali Imć Mikołaj Rey z Nagłowic, warcholił też Sebastjan Klonowicz i Kasper Miaskowski, i Krzysztof Opaliński—ten sam, co to Szwedom Wielkopolskę oddał, i Waław Potocki, —: że to „na morzu — bodaj nikt dobry nie bywał”, — że to „może Polak nie wiedzieć, co morze, gdy pilnie orze”, a „maszt, żagiel i kotew krzywą niech ci mają, co nad słonym Neptunem od pieluch mieszkają”.

Taki Sebastjan Górnicki, podając za Włochem, Baltazarem Castiglione, opis podróży morskiej, przemycił od siebie: „Nakarmiwszy się srogiego strachu...”.

Prawda: miłym wyjątkiem jest Kochanowskiego „Pamiętka Tęczyńskiemu“, ale zawarty w niej opis sztormu wzorowany jest na wergiliuszowskiej „Eneidzie“.

Prawda, pierwszym naszym marynistą był już Jędrzej Zbylitowski w XVI w.,—ale jego morze to jakaś mitologiczna fikcja!

I właściwie jedynym poetą wieków dawnych, który po mistrzowsku odtworzył łączność człowieka z morzem, był w XVIII stuleciu Marcin Borzymowski, autor „Morskiej nawigacji do Lubeki czynionej“.

Po Borzymowskim — dopiero Mickiewicz w kilku swych sonetach oddaje pulsującą rytmikę fal, ich barwę, plastykę, i melodię — a i Słowacki obdarza nas nastrojowością swego „Hymnu o zachodzie słońca na morzu“. Wreszcie Konopnicka.

I to — wszystko. Potem, w literaturze naszej nastaje głębia cisza morska, czyli, jakbyśmy powiedzieli językiem marynarzy — poetycki „sztil“.

Tę martwość ożywił swą działalnością społecznik kaszubski, Ceynowa, a później — powstały odeń ruch t. zw. „Młodo-Kaszubów“, pozostający nie bez wpływu na skąpą jeszcze, ale coraz wyraźniejszą, twórczość marynistyczną poetów z okresu „Młodej Polski“, takich, np. jak Zdzisław Dębicki, T. Faleński, J. Kasproicz, A. Lange, B. Leśmian, L. H. Morstin, T. Miciński, A. Niemojewski, A. Oppman (Or-Ot), B. Ostrowska, S. Przybyszewski, J. Ruffer, L. Rydel, L. Staff, A. Szczęsny, K. Tetmajer, Waław Wolski, S. Wyrzykowski, S. Wyspiański, M. Zaruski i inni.

Oczywiście, była to twórczość, z morzem związana dość luźno — wyjąwszy chyba tylko Marjusza Zaruskiego — a w każdym razie była to twórczość marynistyczna, dzisiaj już do nas nieprzemawiająca.



Literackie zainteresowania morzem najsilniej i najżywniej objawiać się zaczęły dopiero po ugruntowaniu własnej państwowości Polski w oparciu o Bałtyk, — po powstaniu Gdyni, tego wspaniałego poematu polskiej pracy, który najrealniejszą swą rzeczywistością daleko wyprzedził pieśni poetów.

Jakgdyby pragnąc nadrobić stracony niepowrotnie czas, — ruszyli, zwłaszcza młodzi — na poetycki podbój morza — przedewszystkiem polskiego. Nazwisk autorów, którzy pojedyncze wiersze poświęcili temu żywiołowi, cały legion.

Jeżeli jednak chodzi o poetów, którzy wydali specjalne zbiory poezyj, poświęcone wyłącznie morzu lub sprawom z morzem związanym, to, poza Marjuszem Zaruskim, który swą młodopolską jeszcze twórczość zawarł w zbiorze „Sonetów“, opublikowanych już w r. 1902 (II wydanie w 1925) — należałoby wymienić jeszcze: W Gomulickiego „Pieśń o Gdańsku“ (1919), Jerzego Bohdana Rychlińskiego „Latający Holender“ (1924), Rajmunda Bergla, „Tęczowe mosty“ (1926), Bohdana Pawłowicza „Morze“ (1929), dwa zbiory Mieczysława Lisiewicza „U 33“ (1930) i „Coronel“ (1934), Edwina Herberta „Sonety dnia słonecznego“ (1932), Antoniego Madeja „Pieśń o Bałtyku“ (1932) Janusza Stępowskiego „Legenda o masztowej sośnie“ (1934) oraz Wandy Brzeskiej „U strądu“ (1936).

Częściowo, tomy swe morzu poświęciły poetki: Marja Jasnorzewska (Pawlikowska) „Pocałunki“ (1926), Marja Czerkawska „Sieci na wietrze“ (1931), Lesława Urbańska „Morze i ziemia“ (1934), — oraz poeci Mieczysław Lisiewicz „Legendy i ballady“ (1933), i Stanisław Mioduszewski „Profile“ (1934; wspólnie z K. Mikiewiczem i R. Ostem).

Gdyby ktoś zapytał mnie, jakbym sklasyfikował twórczość tych wymienionych tu poetów — byłbym w kłopotcie. Nie wystarczy mi bowiem pewien mniejszy lub większy poziom artystyczny tych lub innych utworów: bierze mnie przedewszystkiem sam żywioł morski, który nie może być wydmuchany. Dlatego uznałbym\*) za konieczne ściągnąć z piedestału niemal przysięgłego już piewcy morza — gen. Zaruskiego (proszę nie mylić autora miernych „Sonetów“ z wielce zasłużonym pionierem polskiej myśli morskiej). — Dlatego musiałbym zainteresować się twardą surowością nabrzmiałych morzem strof Czerkawskiej, zatrzymać się nad pastelami Pawlikowskiej, i załamać

\*) Moich „uznań“ nie należy brać jednostronnie. Nie jestem krytykiem, nadomiar sam jestem autorem wierszy. Stąd ocena moja twórczości innych jest najzupełniej subiektywna i nie roszczę pretensyj do tego, by miała być autorytatywna.

dłonie nad Stępowskim (autorem wartościowej i bardzo mi sympatycznej „Legendy o masztowej sośnie“ odznaczonej nagrodą im. Szareckiego), załamać, że zbytnio ulega wpływom „propagandyzmu“ morskiego (przykład: cykl „Gdynia“). — Dlatego trochę uwagi poświęciłbym Madejowi, poto, aby dojrzeć w nim nadmiar ładu, i nieco więcej Rychlińskiemu, żalując, że nie wszystkie jego wiersze są pozbawione pompacyjnych łatwizn. — I dlatego, wkońcu, na całą bezmała resztę machnąłbym ręką, aby pełne uznanie oddać Lisiewiczowi, poecie morza, którego naprawdę czuję i cenię.

Przykład: Wiersz jego „Alain Gerbault“. Niezwykłego żeglarza opiewał u nas niejedyn poeta (Hollender, Łobodowski, Słonimski, Swinarski), wspominało go wielu, lecz żaden tak krótko a tak dosadnie nie wypowiedział o nim wszystkiego, jak to wyraził Lisiewicz:

Oto po trzech dniach sztormu, dnia czwartego zrana  
gdy zasnął, przywiązany do masztu, zmęczony —  
u borku stanęła czarna statku ściana...

Odezwał się głos tuby spod czapki z galonem:

- Szalupę razem z wami zaraz whisujemy! Przyjmij hol!
- Nie, dziękuję, odkrzyknął zbudzony:
- Jestem Alain Gerbault.

Poetycka inwazja morza, poza nielicznymi naogół wyjątkami, ma charakter marynistycznej twórczości przypadkowej raczej, „letniskowej“. W lwiej części jest to poezja nie morza, lecz „nadmorza“. Dość rzadko spotyka się utwór typowo marynistyczny, którego autor wczuł się w sedno żywiołu morskiego i w to wszystko, co z żywiołem tym jest związane najistotniej. Zdolnością odczuwać przy pomocy tylko samej wyobraźni poetyckiej, bez przeżyć bezpośrednich, obdarzony jest rzadko który poeta, to też marynistyczna poezja narodu naszego, o psychice nawskroś jeszcze lądowej, siłą rzeczy nasiąka tą lądowością. Morze w poszczególnych utworach nie jest prawdziwe, lecz zakłamanie, wytworzone na podstawie chłopiących marzeń, literatury o przygodach opowiadań bywalców (kawiarnianych), w najlepszym razie na podstawie spędzenia na plaży jednego czy dwu sezonów, przy jednoczesnej ilustracji wesołych, lecz niezawsze zgodnych z życiem bujdz filmowych. Często poeci nieumiejętnie operują fachową terminologją morską, używając jej w celu nadania utworowi specjalnego folkloru morskiego.. Stąd nieraz wynika, że utwór, zamiast nabrać pewnego posmaku morskości, co napewno leżało w intencjach autora— dla człowieka, z morzem obeznanego, staje się terenem złośliwych a uciesznych wypadów.



Przykładem dobrego wiersza marynistycznego wydaje mi się utwór Jerzego Czyżewicza, p. t. „P o w r ó t“. Niestety, ten właśnie wiersz dla większości jest niezrozumiały wskutek wielu tajemniczych — jak mówią — terminów żeglarskich: „Spuszczone sztaksle, topsle, groty, osztagowane obie burty...” — Oczywiście trudno wymagać, aby miłośnicy poezji wykuwali napamięć słownik żeglarski, to też nikogo nie dziwi, że tego rodzaju utwory są zazwyczaj zjeżdżane przez krytyków.

A jednak — i w naszej literaturze, związanej z górami, mamy takie wyrazy, jak: watra, smrek, ciupaga, perć, ceper, baca, juhas — wyrazy, które już w literaturze zyskały prawo obywatelstwa.

Boć i przeciw Mickiewiczowi swego czasu rozpętano burzę za wprowadzanie do języka polskiego najrozmaitszych mużłanizmów. A jednak — dzisiaj każdy wie, co znaczy: muślemin, mirza, minaret, drogman, gjaur i t. d. — tak, jak nie wie co znaczy: braszpil, saling, bukszpryt, trap, juta i t. p.

Niezajomość terminów żeglarskich przez poetów, piszących o morzu, niezawsze jest błędem nie do darowania. Jeżeli poeta nie sili się na wykazanie prawdziwego lub pozornego znanstwa tych terminów, umiejętnie je omijając, to na tem jego utwór może tylko zyskać. Nie znaczy to jednak, że wszystkie utwory, które dla większości czytelników są niezrozumiałe — spowodu, jak mówią, naładowania owemi tajemniczymi terminami — są kiepskie. Przeciwnie, mogą być dobre, o ile autor posiadał tajniki zarówno kunsztu poetyckiego, jak i morskowego słownictwa. Aby tego rodzaju utwory były dobre dla wszystkich, aby amatorzy prawdziwej poezji morza nie tracili wielu smacznych, choć napozór niestrawnych kąsków, trzeba jednak, aby sami zapoznali się bliżej z morzem i jego słownictwem.

Omawiając współczesną polską poezję marynistyczną, należałoby zwrócić uwagę na jeszcze jeden fakt — mianowicie na jej przeważnie publicystyczny, propagandowy charakter.

Oczywiście, jeżeli chodzi o Mare Nostrum, to propaganda polskiego morza, drogiego sercu każdego Polaka, powinna być jak najszersza i jak najbardziej rzeczowa. Lecz ta propaganda, szeroko zastosowana w całej naszej poezji współczesnej, przestaje być rzeczowa... Przez bowiem pochopne nadużywanie publicystyki morskiej — zanikają wartości artystyczne tej marynistyki, która zaledwie narodziła się, a już staje się banalna. Zanikają wartości artystyczne i to wcale nie na korzyść propagandy, bo cóż propagandzie po utworach małowartościowych?...

W twórczości niemal każdego poety znajdzie się wiersz

o Gdyni — podejmując się wierszy takich naliczyć conajmniej setkę — a trzeba naprawdę wysokiej miary talentu, aby pisząc o tem, co opiewa stu innych twórców, zdobyć się na rzecz istotnie wartościową i nieprzeciętną, a więc o wiele bardziej sugestywną niż oklepane i przez wielu stosowane chwytły publicystyczne, na które wrażliwość czytelnika dawno już stępiła.

Swego czasu społeczeństwo nasze przeżywało niemal żywiołowe zainteresowanie górami, — dzięki „odkryciu“ Zakopanego. Odzwierciedliło się to i w literaturze. Gdyby jednak cała w tej dziedzinie twórczość Tetmajerów i Orkanów zacieśniła się do gloryfikowania Zakopanego — tak, jak dzisiejsza marynistyka ogranicza się do głoszenia chwały Gdyni i polskiego morza — to napewno twórczość, związana z górami, nie zajęłaby w literaturze naszej stanowiska tak poważnego i charakterystycznego, jakie posiadała istotnie.

Zainteresowanie naszych poetów prawie wyłącznie Gdynią wynika z czegoś bardzo znamiennego. Wynika z braku szerszego, pozagdyńskiego, pozalądowego zainteresowania się morzem, a właściwie z braku wiadomości o tem morzu: znaczna część naszej marynistyki to nietylko wyraz tęsknoty do morza, ale również — maskowanie nieznamomości tego morza.

ZBIGNIEW JASIŃSKI

## W Y D M Y

Mikołajki kolące na wydmach  
 nad zimnem białem wybrzeżem  
 i ostry na wietrze piasek.  
 I dalekie, dalekie drogi  
 kołysane ścieżki niewidne  
 smugi śnieżne  
 na tropie snów  
 Czasem  
 szum porывa mnie nagle i wzbija wirem pienistym  
 i morze, morze huczy nieosiąglie i bliskie.  
 Potem odchodzi wiatr. Nisko pod wydmy biegną  
 białe fal równoległe.  
 A przecież — mógłbyś mnie jutro zbudzić żagli łopotem  
 w błękitnem kole tęsknoty

HALINA BRODOWSKA



## MATIOLE

Ach, raz nareszcie  
już nic nie boli.  
Wieczór lipcowy.  
Pachną matiole  
dałą, pogodą.

I latem pachną,  
i dojrzewaniem,  
i mojem szczęściem,  
szczęściem-rozstaniem,  
moją swobodą.

Odpocząć może  
serce dowoli,  
więc niechże pachną  
w sadzie matiole  
słońcem, zwrotnikiem.

I okrętami,  
i cynamonem,  
masztami, liną,  
i morzem słońcem,  
i fal bezlikiem.

Niechże na linach,  
pachnących smołą,  
złożę swą głowę  
choć raz wesołą  
bujnem bezbrzeżem.

I niech zapomnę,  
że kiedyś żyłam  
w świecie tym zimnym,  
w świecie niemiłym  
żyłam nieszczerze.

I niech zapomnę  
na tym okręcie  
sen mój o tobie  
wiecznie kobiecy,  
sen haremowy...

Niechże więc pachną  
morzem matiole,  
gdy zapominam  
ciebie powoli  
w wieczór lipcowy.

OLGA DAUKSZTA

## OBIETNICE ZMROKU

Liście mrozu na szybie są czasem zielone  
jak potworne ramiona drapieźnych ośmiornic,  
goniących cień złoty o zmroku wieczornym,  
rybko lśniący w głębinie skłębionej.

Noc nagiemi drzewami bije w zamrożone serce  
i tęsknotą zeszcłej gałęzi do dalekiej gwiazdy bladej  
baje cicho o ciepłej różowej kołderce,  
pod którą spały ze mną mały, brunatny niedźwiadek.

Głupi skrawek księżycy bredzi o tem, co mnie mogło spotkać,  
choć wie, że wolę na jakimś Fire-Creście przecinać Atlantyk,  
a nie — jak domowa kotka  
chleptać mleczko pachnące z podanego spodka.

Szepcą cicho rozgwiazdy szklanym wodorostom,  
w dal płynącym liljowo-srebrzystym poszmerem:  
z koralowej toni błądy Cagliostro  
nigdy nie wykradnie mleczno-złotych pereł.

WANDA KARCZEWSKA

## O M O R Z U

Wszystko was tutaj dusi:

meble i piec otyły od ciepła,  
obrazy, pogłębiające pokój w inne treści,  
i droga poza oknem, która w słońcu skrzepla —

droga waszych marzeń nie mieści,  
kończy się mrocznym pagórem.

Ciasno.

A tam są przestrzenie drżące na falach,  
horyzont płynący cicho.  
Horyzont o zmierzchu zaśnie,  
rano w blasku się spali.  
Na niebie wiatr ostry słychać.

Niech zerwą się oczy i oddal zamieniają w strzałę!  
Rozsunąć widnokraj -- i dalej!  
Wiatru za mało.

Fale — fale.

Morze —  
ojczyzna tych, co nie mają ojczyzny.

Morze.

Płynę życiem. Myśli trzepoczą przed wzrokiem,  
lęk przed przyszłością się korzy,  
a przyszłość we mgle jak w siwiźnie.  
Smutek wrósł we mnie głęboko.

Pragnę:

domu, wybiegającego oknami naprzeciw dniom słonecznym,  
podłóg, omiecionych z kurzu i cieni.  
Dom oprze się o szum lasu, zatechczą o zmierzchu bagna,  
będzie bezpiecznie.

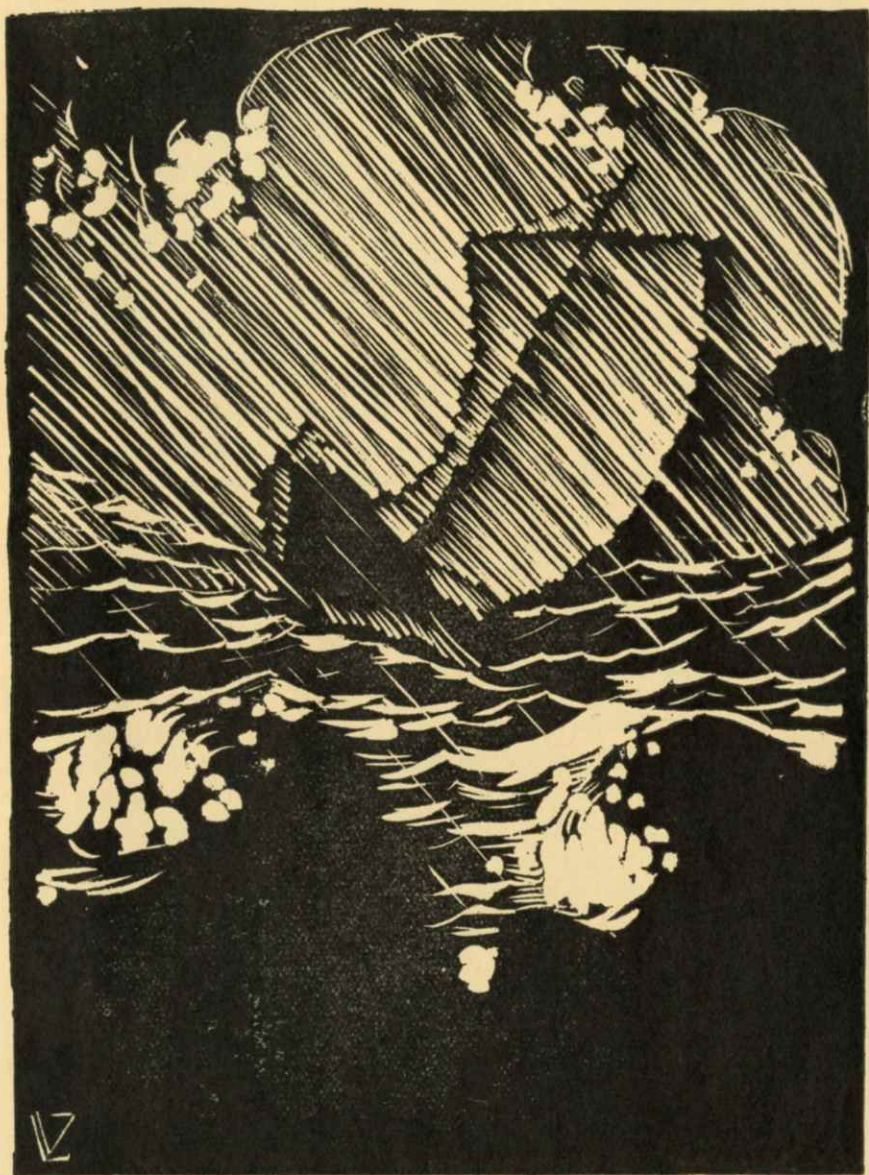
W snach dziecięcych były statki, podmorskie głębiny,  
tęsknota wpadała w morze, a z nią wizje zuchwałego chłopca.

Dzisiaj, obryzany kłamstwem, nie wiem, gdzie płynę.

Morze mi obce.

JERZY PIETRKIEWICZ





## J U Ź C Z A S

Długo nam stać u brzegów i wołać,  
 aż głos nad wodą zamierać przestanie,  
 nad fale się wzniesie i zabrzmie  
 wzniesioną, wzniosłą,  
 aż wreszcie władczą miłością!

Długo nam patrzeć, niech oczy ślepną!  
 Długo wzrok nazbyt słaby dłonią przesłaniać,  
 aż Cię ujrzemy, aż Cię wchłonimy  
 światłości, zmienności, głębio!

Długo nam słuchać burz i grzmotu fal,  
 w ciszę bezwietrzną serca wsłuchiwać,  
 aż obcym przestanie być wicher zza krańców  
 i woda zdobyta do stóp nam uderzy!

Niech nagie ciała chłód Twój w siebie zagarną,  
 niech sól na wargach przestanie dziwić!  
 Długo nam płynąć, porzucać bezpieczną śmierć brzegu,  
 nim krwią Twoja woda w tętnicach naszych popłynie!

Już czas — poeto — z morzem się zmierzyć,  
 nowemu światu w sobie otworzyć drogę!  
 Długo nam wołać i patrzeć i słuchać i wierzyć,  
 aż Ciebie — morze — w sobie znajdziemy,  
 aż równie bliskie, jak las nam zaszumisz,  
 aż równie drogie, jak łąka zakwitniesz,  
 aż równie groźne, jak niebo znać ładu,  
 nieobcą śmiercią zagroźisz  
 i najłaskawiej zabijesz!

EDWIN HERBERT

## KSIĘŻYC NAD ZATOKĄ

Nurtem płynę, stal i szkło pode mną  
 dłonią głodną wilgotnych połączeń  
 sięgam w wodę błękitną lecz ciemną,  
 gdzie mój wiersz się śladem łodzi płacze.

Krwawe gąbki świecą pod parowem,  
 odchylają się milczące szyby,  
 w nich się jarzą ryby rubinowe,  
 wokół płyną turkusowe ryby...



W rafach srebro sinieje zczerniałe,  
 granatowo rozświeca się mgła,  
 to Bóg pędzel umoczył w ukwiałach  
 i maluje henną morskie dna...

A wiersz zwinny, srebrnołuski, prędko,  
 zakochany w płynącym szafirze,  
 za płomieniem jak iglica cienkim  
 spływa głębiej, coraz niżej.. niżej...

Gdzie związany w mgławych zwierzokwiatach  
 tęczę, której ni śpiewać ni sławić,  
 wisi czarno jak księżyc na nowiu,  
 wodnych legend przyczajony szatan...

Tam nie zejść, zbyt się dno rozpiętrza,  
 woda mętna, dusi ciężar w skrzelach.  
 I pod srebro parkietów powietrza  
 wiersz wypływa jak martwa makrela.

Gdzieś go fala poniesie, wypłuszcze  
 w kręgach bladych jak wargi topielcze,  
 chłodnych świateł opłotem i bluszczem  
 krew wystudzi i więdnące serce

A gdy docna martwicą uciszy,  
 ciało z łuski świecącej rozpręży,  
 ponad morze z koralowej niszy  
 purpurowo wejdzie wielki księżyc.

Tuż przy brzegu skalnego brokatu,  
 przez wachlarze morszczyń i gorgonji  
 niby szczupak zacznie skokiem gonić  
 drobne gwiazdy — meduzy z agatu.

Choć krab wiersza na dnie nie wystrzępi,  
 w opalowych muszel wlokąc więzy,  
 rytmy modrych i kolczastych głębin  
 wyśsie z niego drugi łowca — księżyc.

## BALLADA O MACIE SZALONYM

Z ramienia tylko naodlew, gdy rękom było za ciasno,  
 kroki — wiadomo — kołyssem, z lewa na prawo, w świat —  
 księżyc umierał za burtą o całą tarczę za jasno,  
 kiedy bez trapu, na ląd  
     wiał Jim — szalony mat.

Port uśmiechnięty nawznak, ku gwiazdom masztów ręce...  
 sypkie przechlusty z dna: tysiące podmorskich lat.  
 Gaśła Jimowa tęsknota, na tych przechlustach najwięcej  
 i wtedy w zanadrzu nocy  
     drżał Jim -- szalony mat.

Próżno swe wiotkie szaleństwo w sękatych rękach kołysał,  
 próżno u kresów świata zwichrzoną głowę kładł,  
 żaden go zachód nie wchłonął w niedofiolet uciszeń  
 i z żadnym nie wzeszedł wschodem  
     już Jim — szalony mat.

I tak u każdej z burt świata rozdarte wisi serce,  
 bez celu puste saluty nad niemi oddaje wiatr,  
 i kiedy krtań wyschniętą krzyk zamłczony przewiercał,  
 znów smutne przymykał oczy  
     nad łzami — szalony mat.

Słuchajcie, morskie dziewczęta, o wy, rozmorza, wylądy,  
 kiedy się w snach wam przydarzy człowiek samotny jak świat,  
 utulcie chociaż na chwilę kroki omdlałe z błędzeń,  
 nim znów na morza odbije  
     inny szalony mat.

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

## R Y B A K

Z fajką w zębach on myśli o połowie śledzi,  
 O zarobkach, o dzieciach i o żonie, ale  
 W najcodzienniejsze myśli wielkie morskie fale  
 Wdzierają się i dźwięczą dzwonem bitej miedzi.

Cokolwiek widzi zbliska, ostre oczy mruży,  
 Najbliższe domy albo sprzęty widzi w dali,  
 Bo oddala go od nich pęd wiecznej podróży,  
 Która powiewem świeżej, cierpkiej soli pali.



Czy krzyżuje na piersi opalone dłonie,  
 Jakgdyby morze objął dłońmi splecionemi,  
 Czy ciężko i niezgrabnie włóczy się po ziemi  
 Jak łódź, przywykła tylko pruć zielone tonie;

Czy reperuje sieci o wieczornej porze,  
 Czy pierwszym gwiazdom okiem błogi chłód ich kradnie,—  
 W każdym ruchu i czynie jego szumi morze  
 Z muszlami, meduzami i rybami na dnie.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

## SOBIE SAMEMU

Z poematu „Śpiew triumfalny”

Podróżowały me oczy w dzieciństwa śpiewnej zadumie  
 od kolorowych atoli do zatok smutnych i cichych.  
 Padały gromkie okrzyki nad wody gniewne poszumy,  
 podane wiatrom i morzu z piersi gorących i dzikich.

Korsarska дума i oręż złożony gwiezdny polyskiem,  
 czarna bandera na jachcie, noce tajemnych zwycięstw  
 na szeleszczących stronicach były prawdziwe i czyste  
 jak słów codziennych różaniec, supłany w pasmach życia.

Dzień składał topór skrawiony na wód zielonym pokładzie,  
 mewy na skrzydłach białych błękit znosiły do serca.  
 Wiatr żaglom — smutnym kochankom — piersi wydęte gładził  
 i niósł do łądów strudzonych wonne poszumy czerwca.

A gdy do brzegu przybiła brygantyn huczna wyprawa,  
 witały dziewczęta bosc z kwiatów czerwonych naręczem.  
 Pianą nabiegał przyływ do źrenic tęsknych i krwawych,  
 gdy zachód na mórz dobiegu kładł się czerwonym wieńcem.

I znowu noc czarnoskrzydła lotem szerokim powiała,  
 płaszcz sinogwiezdny na dno. Księżyc na białym maszcie.  
 Wiatr od północnych fiordów ogarnia mężnia ciała,  
 na morze innych legend płyniemy w czarnym jachcie.

ZDZISŁAW POPOWSKI

## KAPITANIE BEZ GWIAZD...

Zobaczyłeś przed oczyma dno  
ręce białe jak morze wplątane w niebieskie włosy  
i obłok.

Na statku kołysankę pieścą maszty reje i liny  
rozdzwoniona woda bulgoce o dziób wygięty ostro  
a twe oczy jak wieczór sine  
wbite dzwonem w pałacy się zachód  
szepotały iż nic się nie stanie  
i na maszcie wśród szumu żagli  
największy samotnik tej łodzi  
dumałeś ostatni.

I w wód koło pienne wpatrzony  
rękę wsparłszy na maszcie sosnowym  
pieśń nuciłeś biało-czerwoną  
o swem sercu dalekiem i płowem.

Kapitanie bez gwiazd  
czemu stoisz jak wkopany w okopy zachodniego frontu  
żołnierz nie mający ojczyzny?

Wiem  
o wiem kapitanie  
ty o smutku pieśń dna głębi oceanu nuczisz  
której wydarł serce marynarz na łup.  
...Wróć ucałuj jak za dawnych lat... lecz nie wróci  
wiatr wybieli je na płótna szalup.

Ale nic to. Tak samo jak dawniej mętna Pilica płynie  
i wierzby nad Polską szumią  
nie zmieniła się pieśń o rozmarynie  
kapitanie czy ty to rozumiesz?

Białe ręce i morze i obłok  
dno kamienne skarg nie będzie wyrzucać  
woda jest dobra.

## W PRZYDROŻNEJ KARCZMIE

Może już jutro,  
może dziś  
siądziem do łodzi:  
nieś nas, nieś!  
Lecz czuję już, że wokół naszych głów  
dmą górą wichry ostre.  
Że wkrótce już się pożegnamy,  
ojczyzno, bracia, siostry!

Gdyby kto wiedział, jak to jest,  
gdy serce burzy się wulkanem,  
nikt z wasby nie wstrzymywał nas!  
Ach, życie tak jest niecierpliwe,  
porywa z sobą czas!

Miasto jest ciche.  
Miasto drzemie.  
Mało miłości —  
odejdziemy,

Nie będziem wszak się tego bać,  
że nam po karczmach gdzieś wypadnie  
po psiemu spać tak, jak się zdarzy,  
że na nas gdzie napadną zdraźnie  
pijani marynarze!  
Człowiek ma zęby — to ukąsi,  
człowiek ma pięść — odepchnie ich!  
Pokora nie jest naszą cnotą,  
ni wzorem naszym nie jest mnich!

Więc spójrzcie tylko w nasze twarze,  
niema w nich żalu — dziwna rzecz.  
Przed nami stoi wino w czarze,  
które odpędza smutek precz.  
Bo z smutkiem w duszy któżby śmiał  
zamyślać wielki plan?  
Tylko gdy uśmiech trzymasz w dłoni,  
wtedyś, człowieku, pan!

Dziewczęta wszystkie w naszych wsiach  
rumiane mają lica,  
lecz miłość kobiet nie wystarczy,  
gdy nie są jako lwice!  
Pragniemy użyć szczęścia  
z o wiele większym dziś rozmachem —  
nam serca w piersiach się trzepocą  
jak w deszcz chorągiew ponad dachem!

A ludzie w naszych miastach  
na nogach noszą olów  
i chłodne ich uczucia są,  
nie palą w zimnych murach!  
Kotwicę wgórę, hej!  
— Już gotów!  
A wiatr czy dmie?  
— Wichura!

JAN SMREK

Ze słowackiego spolszczył K. A. Jaworski



## W P O R C I E

Kurzą fajki okręty nowoczesnych Hanz,  
ich dym z żelaznych piersi chce niebo zasłonić.  
I syreny ostatni raz krzyczą na dreadnouce Provance,  
odpływając w mych marzeń egzotyczną kolonję.

Wali w port oceanu zły szum,  
tną powietrze mewy skrzydłami i krzykiem.  
I jak chmury się kręcą eskadry mych dum  
przez czarne Atlantyki i nad Pacyfikiem.

Gdy w porcie na okrętach sprawują flagi straż,  
gdy nozdrza me łaskocze dalekiej dym podróży,  
podnoszę barwną flagę na serca mego maszt,  
niech łopocze nad wściekłą kipiela w jasnej wichurze.

ŚWIATOSŁAW HORDYŃSKYJ

z ukraińskiego spolszczył K. A. Jaworski

## C O D Z I E N N E M O R Z E

Niema tu żadnej bajki wcale,  
jak tam, gdzie morze i gdzie ląd, —  
za rejdem szumią głośno fale,  
a na kotwicach statków rząd.

Giną ostatnie dnia zarysy,  
wieczór zapada dzwonem w toń.  
I widzę: maszty jak cyprysy  
i czują dymu z fajek woń.

Tam wszędzie praca, wre robota.  
Jak łódź nadpływa noc z za wód,  
wielbię cię, morze, słowa młotem,  
powszedni, czarny fal twych trud.

Ciśnij sztormową moc zuchwałą  
na rejdzie serca, głów i bark,  
by krew się w silnych nie zastała  
i aby słabych trafił szlag.

O. WŁYŹKO

z ukraińskiego spolszczył K. A. Jaworski

## N O C K R Y M S K A

Jak tylko noc zajdzie za Kiszkę i skryje się mrugając za jej zwi-  
chronemi plecami, — na Krymie nastaje wieczór... Błękitny wieczór...

Wiecie, jaki wieczór?

A taki: było jasno, było światło, a potem niema jasno, niema światła.  
Oto i wieczór... Jest błękitny... Tylko z poza Jajły błękitną zasłoną na  
południowy brzeg Krymu mach! i przykrył... i błękitna zasłona owa  
po morzu, po morzu, aż tam, gdzie niebo wpiło się w niebo, gdzie niebo  
objęło morze, a morze niebo... Aż tam błękitny wieczór...

A za wieczorem skrada się noc... Skrada się, pchnie błękitny wie-  
ieczór do szmaragdowego morza, a sama po sosnach, po cedrach, po ma-  
gnoljach, po wawrzynach... I siedzi... Noc siedzi. Noc krymska...

A z za morza, z samego Stambułu miesiąc wygląda... Wychyli się,  
rzuci szczydrą ręką na sine morze dukaty, a dukaty te z za morza, z sa-  
mego Stambułu potoczyły się — potoczyły się do południowego brzegu  
krymskiego, uderzyły o skaliste wybrzeże i odbiły się aż tam, gdzie mo-  
rze trzyma niebo w objęciach... I leżą i połyskują złotemi błyskami,  
tocząc się bez dźwięku, bez hałasu po drobnych falach.

Noc krymska...

O. WYSZNIA

z ukraińskiego spolszczył K. A. Jaworski

Zapijał się, ale już inaczej niż poprzednio. Niedość, że życie jego, jak zresztą życie wielu innych marynarzy, przestało być ciekawe, — nadomiar poznał nagle, że już naprawdę nie ma dla niego powrotu tam, skąd własnowolnie uciekł: nie było powrotu na ląd. Józek, będąc członkiem kasty marynarskiej, zupełnie różnej od innych rodzajów społecznych — odrębnie myślał i inaczej tęsknił. Stąd przepaść.

Powrót był odcięty.

Gdyby Józek, dzięki jakiejś niespodzianej fortunie, mógł osiąść na lądzie, — nicby się w nim nie zmieniło: morze bowiem wyzarło w biczmenie sztormowe brózdy i błękitne blizny. Oczywiście, pieniądze zapewniłyby mu w tamtej sferze kupiony lub prawdziwy szacunek, płatnych lub może szczerych przyjaciół, ale zejmanem, w znaczeniu duchowem, zostałby nazawsze: nadal pogardzałby lądem.

Obok tego uczucia, niezmiennego, -- gdyby porzucił morze, powstałaby w nim nowa tęsknota: lądowa tęsknota do morza. Zupełnie podobna do tej, jaka istniała w nim teraz: tęsknota do porzuczonego lądu, którego, mimo całej swej nienawiści, zapomnieć nie mógł.

Prawda, morza też nie lubił... Zawiodło go i rozczarowało. Było nie takie. Tylko od czasu do czasu porywała go gorączka, dobrze znana wszystkim marynarzom, gnająca człowieka choćby w piekło, byle jak najdalej, byle gdzieindziej, byle inaczej! Przelewały się przez biczmena nagle, fosforycznie drgające przypływy i odpływy smagań i pragnień — jakich? nie wiedział. Ukryte były za linią horyzontu. Fale te jednak załamywały się, uspakajały i cichły — jak wszystkie fale. Pozostawała gorzkosłona niechęć do wszelkiego bezładzia, do bezdroży płynnych, które zatopiły wszystko, co ma jakikolwiek cel i sens. Lecz niechęć ta znów skolei cichła, znów jakiś cyklon febryczny wstrząsał nim w pożądaniu nierozumnej gonitwy za tem, czego niema. Nagłe olśnienie wołało, że cel, że sens jest właśnie w tej gonitwie po oceanach — aż do następnej ciszy, do następnego wyczerpania pożądaniem — czego? djabli wiedzą!

Nie lubił morza, chwilami go nienawidził, mimo iż było jedyną jego wielką miłością. Źle, nie miłością: namiętnością. Był wobec morza jak kochanek, który i odejść chciałby i pozostać, który nienawidzi swej wybranej za to, że przykuła go do siebie i pozbawiła wolności, który jednak po tysiąc razy pożąda jej dlatego, że właśnie jest mu tą wybraną, tą jedyną, i dlatego,







że odejść od niej nie ma siły, i wreszcie, że wyjście z tego zaczarowanego kręgu nie istnieje.

Do lądu zaś tęsknił jak do innej dziewczyny, której niedocenił niegdyś i którą pogardził, — zaco odpłaciła mu stokroć gorszą, niekzemniejszą, bardziej piekącą wzgardą. Wzgardą obojętności.

Zarówno tęsknota do morza, jak i do lądu — były to dwa zmatwane, skłębione uczucia. Każde z nich rozdarło, rozwidlone, jak kilka wijących się, ognistych języków jednego płomienia, skłócone było i stargane w samym sobie, — oba zaś nadomiar złego żarły się nawzajem.

Powrotu z morza nie było, nie było bowiem ucieczki od samego siebie... Józek wiedział o tem oddawna, często nawet powtarzał to sobie. Jednego tylko nie wiedział: dlaczego? Dopiero niespodziewane spotkanie z Inką odkryło mu wewnętrzną stronę całej tej matni. Po raz pierwszy głębiej pomyślał o tem i dotarł niemal do samego jądra — tam, w tej tawernie, w ów pamiętny wieczór.

Począł pić — inaczej.

Jeśli pił przedtem, to aby wypić w wesołym gronie, lub aby rozgrzać się, gdy fala chluśnie za kołnierz, lub żeby wreszcie zalać chandrę wspomnień Inki.

Teraz zaś nagle uprzytomnił sobie, że pić musi. Nie, że jest marynarzem, ale, że jest aż tak niepowrotnie marynarzem.

Wszystkie kontynenty zostały nagle zmyte z mapy oceanów. Wszystko jedno, jaki kierunek wskazuje róża wiatrów. Niema różnicy w tem, dokąd ster wykręci statkiem. Kurs zawsze będzie ten sam, wszędzie to samo słońce i takie same gwiazdy, bardziej płomienne czy bledsze — zależnie od gorączki czy chłodu pragnień. Wszystko jedno, pod jaką szerokością i długością geograficzną płynie okręt, wiecznie zamknięty kręgiem horyzontu, którego przekroczyć niesposób: krąg posuwa się wraz z okrętem.

Tamto — skończone. Trzeba pić, żeby się przyzwyczaić do tego, czego pragnął jeszcze w dzieciństwie, czego pragnie jeszcze teraz, lecz co nagle stało się zbyt przezroczyście, zbyt przeraźliwie jasne. Trzeba pić, gdy się nie jest już — tylko marynarzem, lecz — aż tak bardzo marynarzem.

To minie, oczywiście. A olśniewająca pewność, że nic się nie zmieni, stanie się jeszcze jedną dobrze nasoloną skórą, nałożoną jak worek na wszystko: na szerokie spodnie, na rejsy przebyte i przyszłe, na graby zeszczywniałe, na błękit tatuauży. I, gdy kilkudniowem piciem nasiąknięta powłoka stwardnieje — już będzie po krzyku. Trzeba ją tylko utrzymywać między

dwoma rejsami. Twarda i gruba, szorstka i ostra, pozwoli na wszystko: na chłanie do utraty przytomności bez pytania: „poco?“, — na gwałcenie portowych brzan bez westchnienia: „szkoda...“, — na wyprucie w razie potrzeby cudzych flaków bez żalu: „nie chciałem“

Można już będzie robić wszystko. Bo jeśli ktoś raz rzuci ład i nie opamięta się wczas, nim nagle jasno ujrzy, że nic mu nie zostało prócz nienasyconego, wiecznego posuwania się w zaczarowanym, zaklętym, przeklętym kręgu horyzontu, — to sło-dzić nędzny żywot może mu tylko przekonanie, iż dobre są jedynie chwile, naszemrane w ponurych zakamarkach wyśnionych portów.

Józek pił „Pod kotwicą“.

Pianola rzewnie wyła szum fal rozchwianych, żar palenisk, dygot turbin, gwizd wiatru na wantach... Czasem, niby szcęk nagle obsuniętego w kluzie łańcucha kotwicznego, — skroś rozrehotany gwar szturchnęły się twardo szklane kufle, trącane przyjacielsko. Po drewnianej podłodze, zaplutej i pokrytej ogarkami, siedł szurgot tańczących par nóg.

Józek podniósł głowę z nad stołu i spojrział po sali. Było żółto, szaro i śmierzdząco.

ZBIGNIEW JASIŃSKI

## FRAGMENT Z POWIEŚCI „WYPRAWA O ZMIERZCHU“

Jakób czuje swój ciężar i dobrotliwość desek pokładu, które go dźwigają — pułap chmur wydaje mu się nagle nieprzeniknionym kloszem, dzielącym go od świata, boleści, radości i intensywności życiowej niby ołowiany całun. Bezsiłę yachtu czuje jak swoją własną. — Wścieknę się, jeżeli natychmiast nie powieje! — krzyczy i zrywa się na równe nogi, aż cały yacht zachybotał i wyrzucił gwałtownie na martwą wodę obręcze fal. I w parę sekund potem powiało.

Powstanie Jakóba okazało się intuicyjnie celowe, jakgdyby powstał właśnie do roboty. — Widzisz?! — zachłysnął się Blecha. Obaj z Blechą wypychają bom w gorączce wzruszenia i szczęścia, wyregulowują jeden przez drugiego ster i znowu nareszcie nadymające się żagle, chcieliby dziko śpiewać. Wiatr, wiatr, wiatr.

— Wiatr! — woła Blecha przez luk do wnętrza kadłuba.

Wkrótce wszyscy trzej warują na pokładzie. Obudzony Egtved przy sterze, Jakób z Blechą na ławeczce kokpitu. „Kaper“ już znowu leży na burcie, znowu rozcina odmetry dziobem, podnoszą się na morzu fale, jak rozbudzone gady.



— Nie umiem znosić sztilu — wyznaje Jakób, ale tamci nie odpowiadają, gdyż znają już te zwierzenia Jakóbowe na pamięć. — Pamiętacie dziesięciodniową ciszę na trawersie Szetlandów? Bardzo to dziwne, że nie zwarzowałem.

— Ja lepiej pamiętam Biskaje, dwutygodniowy sztorm — powiada obojętnie Egtved. — He, psiakrew, to ci było! — rozjaśnia się na to wspomnienie Blecha. Przechyla się wtył, jakgdyby chciał zajrzeć w niebo, i podkręca bródkę, niby miękki pędzel. Rozkłada ramiona.

Wiatr jest coraz świeższy. Jakób odczytuje log, który cienko tnie głębiny poza rufą, zerka na zegarek i oznajmia, że robią siedem węzłów. — Jeżeli będzie tak trzymać — dodaje, — to jutro rano wejdziemy do Göteborg.

— Byleby tylko gafel wytrzymał — przypomina Egtved.

Jednolity pułap chmur kończy się na zachodniej stronie przestworzy, jak ucięty nożem. Widać tam wyraźny horyzont i pasek szafiru, na który niedługo upadnie głowa słońca, upadnie i zakrwawi. Wtedy na tle tego pożaru przepłynie oddalająca się jak widmo sylwetka nieznanego okrętu, w jakiś szczególny sposób zaniepokoi i przepadnie. Morze stanie się granatowe, aby skuteczniej walczyć z czerwienią. Potem słońce utonie niby ciężki talar i pasek nieba żółknie złotogłowiem. — To jest brama, przez którą wyfrunę jak gołąb, — modli się Jakób wskroś tego zachodu słońca.

Blecha przygotowuje w kambuzie kolację. Słychać tłumione warstwą pokładu jego wesołe klątwy i piosenki, jakgdyby z otchłani. — Jutro będziemy w Göteborg, dobrze — powraca Jakób ku zwyczajnym sprawom, — ale czy gafel wytrzyma? Egtved siedzi przy rumplu sterowym uważny, pełen uroczystej nieruchomości, z wyciągniętą szyją, kapłański. Z długą wyschłą gębą, przy której włosy są jeszcze jaśniejszą plamą niż u Jakóba, z wielkimi rękoma, niebieskooki. Ten steruje, tamten gotuje kolację. Jakób już nie pierwszy raz w życiu czuje się niepożądany i co gorzej—również nie po raz pierwszy — odszukuje w tym stanie jakiś niebezpieczny urok.

— Jutro będziemy w Göteborg, potem Kopenhaga, Gdynia — gładzi, aby słysząc swój głos, nanowo uznać swoją ważność. — Już prawie cztery lata przeszło, jak opuściliśmy Bałtyk. Powrót po czterech latach -- to będzie z pewnością zabawne na każdym kroku.

— Owszem, największy czas wrócić — przyświadcza Egtved.

Wrócić, wrócić — kiwa Blecha głową w czapce poprzez luk kuchenny, a za chwilę zamiast głowy wynurza się dymiący



garnek. Jakób podchodzi, odbiera garnek, potem talerze, łyżki. Wszystko to kolejno stawia na ławeczce kokpitu. Zagląda. W garnku lśni omaszczona kasza. — Coprawda cztery lata to nic. Jabym jeszcze żeglował. Ale mam pewną sprawę — łże Blecha, wydzwigując się na rękach przez luk na pokład. — Zresztą czeka nas rejs do Australji. Trza się przygotować. Przykuca z talerzem kaszy na kolanach i gęba mu się nie zamyka ani na chwilę. To je, to gada. Od wschodu nadciąga ciemność. „Kaper“ gna coraz raźniej. Na tle jaśniejszego niż morze nieba i yacht i oni, siedzący wokół garnka, wyglądają w sylwecie niby jakieś nierealne misterjum.

Rankiem tak samo siedzą wokół parującej kawy. — He, Gdynia! — wspomina Blecha. Tak tam bywało, a tak. Fajny port. Jeden, wiecie, w Hamburgu pyskował. Nie pyskuj, lekko-myślna twoja mać — przestrzegam go, a potem muszę walić w mordę skurwysyna, aż zębami dzwoni. He, Gdynia. Taka owaka, ukochana — wzdycha Blecha z temi swojemi okrągłemi, kłamliwemi oczyma cwaniaka, i nagle wypływa mu z ust nieoczekiwane szczerza w swym liryźmie piosenka. Jakób chciałby pobłażać. A tymczasem przenika go jakiś śmieszny dreszcz. Jakgdyby też dotknęła go skorość do nostalgji.

Jakóba przenika dreszcz, a Egtveda senność. Oddaje ster Jakóbowi i schodzi do kajuty. Jest już zanurzony w luku po pas, po ramiona, po szyję. — Obudźcie mnie przed wejściem do Göteborg — przypomina w momencie, kiedy widać mu już tylko czubek głowy. W kajucie wpełza do koi i zasypia. Tuż za uchem, poprzez poszycie kadłuba, pluska nurt. Tylko to cienkie poszycie, tylko ten wiórek oddziela śpiącego od bezdennych odmętów i nieprzeniknionych głębin.

JULJUSZ ŻUŁAWSKI

## PRZEGLĄD POEZYJ

Zbigniew Jasiński: Papierowym okrętem, Warszawa 1936.

„Któż to przewidzieć mógł?”

Skarżył się kiedyś Słowacki w liście do matki: „Widziałem piramidy, ale zato straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacja wytworzyła“. A przyjaciel jego snuł w dzieciństwie marzenia o podróżach dalekich, by u progu realizacji snów egzotycznych kulą z pistoletu stwierdzić bankructwo swych rojeń. Ten typowy dla romantyzmu rozdźwięk między marzeniem a rzeczywistością, wprowadzający poetów w konflikty, kończące się w najlepszym razie rozczarowaniem, przy-

pomina się uporczywie ptzy czytaniu wierszy Jasińskiego.

Więc najpierw „morze dzieciństwa“. „Rynsztokami ulic“ płynęły papierowe okręty, puszczane małą garstką ośmioletniego brzdąca. Potem zachwyty nad bohaterstwem kapitana Blood'a i w „bruljonie małego gimnazjasty“ naiwne wiersze o korsarzu Ricardo. Aż rozrósł się wreszcie dziecinny stateczek w „bark tysiactonnowy“, brózdzący kilem swym „prawdziwe morze“, i młody marynarz wypłynął na poszukiwanie ziemi tajemnic — Ultima Thule. I wreszcie stwierdzenie gorzkiej prawdy, „że morze — to prawdziwsze — jest treścią bajek tylko“! Że dzisiejsza cywilizacja wszędzie „wtargnęła roztrzęsionym fordem“ i smutne wyznanie, „że wszystko się dzieje tak bardzo inaczej“ Wtedy od rzeczywistości znów się ucieka w świat marzeń romantycznych i szczupła przestrzeń akwarjum drży „chłodną nieskończonością“ i pisze się rimbaut'owskie wiersze o „Wraku“ lub gorące neurastenji usiłuje się przeciwdziałać wizją „brygantyn i fregat“, „koralowych atoli“ i tym podobnych rekwizytów, których bankructwo się doświadczalnie stwierdziło. S. O. S. — woła Jasiński: ratuj nasze dusze, dusze tych wszystkich, których „zwidy porwały włóczęgi mocą wściekłą“ na wieczną nieukojoną w życiu tęsknotę, na którą jedyne lekarstwo — „noża chłód w aorcie“. Nie wiem, czy sąd mój przypadnie do serca autorowi, ale po przeczytaniu książki odnosi się wrażenie, że Jasiński jest więcej poetą niż marynarzem. Tem lepiej dla poezji. Ale czy klimat tych wierszy sprzyja rozwojowi t. zw. „krzepy“ marynarskiej—to pytanie.

Pięknie, po bibliofilsku wydany zbiorek zdobią interesujące drzeworyty Kaj. Sosnowskiego.

Julja Dickstein - Wieleżyńska: Przed jego wielkiem światłem, Warszawa 1935.

Znana tłumaczka i krzewicielka na naszym gruncie klasycznej poezji włoskiej wydała z okazji zgonu Marszałka tomik poezyj p. t. „Przed jego wielkiem światłem“, zawierający utwory okolicznościowe, powstałe w latach 1918—1922, w bohaterskim okresie tworzenia się zrębów państwowości polskiej. Wiersze, nacechowane głęboką czcią i uwielbieniem dla postaci Józefa Piłsudskiego, pod względem artystycznym należą do epoki minionej. Odbijają one na tle współczesnej liryki młodopolską rozlewność i słownictwo, niedzisiejszą metaforykę i tak częstą w naszej poezji przedwojennej archaizację języka, która w tym wypadku nie razi może zbyt, odpowiadając powadze treści. Zbiorek uzupełniają wiersze, pisane pod bezpośrednim wrażeniem śmierci Marszałka oraz harmonizujące z nimi przekłady z Carducciego.



Witold Kasperski: *Przemiany*, Związek Literatów w Lublinie 1936.

Ostatni tomik Kasperskiego wbrew tytułowi do twórczości jego nie wprowadza motywów nowych, a artystycznie znamionuje raczej pewne znużenie. To, co nas pociągało w poprzednich książeczkach: świeżość w odczuwaniu natury, bezpośredniość liryki miłosnej, szczerłość i prostota wyrazu — sprawia tu wrażenie czegoś wtórnego, jakby Kasperski naśladował samego siebie z dawniejszych zbiorów. Element refleksyjny zużożał, nastawienie społeczne znikło, a i mniej poszukiwań Boga. Pozostały wieś i kobieta. Obrazowanie często ciekawe i wynalazcze („przez sutki gwiazd sączy się mleka strużka“, „tatarak w szable dzwoni“, „dzień jak rumak gniadym zadem błyska“), czasem nieświadome wpływy (Jesienin: „zmierch — brodaty cap“, „zmierch wyciera księżycową brodę“; poeci lubelscy: „ziemio, przygarnij“, „kruk rozpaczy“, „szczęścia zbyt wiele“) obok niedopuszczalnych banałów („zrozumiałem sam i wiem ach! wiem“, „pijany słońcem jak winem“). Do najlepszych wierszy w zbiorze zaliczyłbym interesujący w ujęciu problematu „Idący czas“ i piękne, sugestywne „Południe nad rzeką“.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

## N O T Y

RADA MIEJSKA GDYNI ustanowiła doroczną nagrodę literacko-artystyczno-naukową im. Stefana Żeromskiego w wysokości 5000 złotych. Celem tej nagrody jest pobudzenie rozwoju literatury, sztuki i nauki, związanej z morzem i miastem Gdynią. Kandydatów do nagrody mogą przedstawiać: Polska Akademia Literatury, Polska Akademia Umiejętności, wszystkie wyższe uczelnie polskie, Rada Miejska Gdyni, Instytut Bałtycki oraz polskie stowarzyszenia i związki literatów.

PRAGNĄC UCZCIĆ PAMIĘĆ SYNA SWEGO, przedwcześnie zgasłego, a zapowiadającego talent literacki — Jerzego Szareckiego, marynarza i autora trzech tomów prozy: „Na pokładzie „Łwowa“, „Groźny kapitan“ i „Czapka topielca“, prof. dr. Bolesław Szarecki złożył w r. 1934 do dyspozycji Tow. Literatów i Dziennikarzy Polskich pewien fundusz, którego odsetki, w kwocie ok. 1200 złotych, corocznie przyznawane są decyzją zarządu Tow. jako nagroda dla młodego pisarza-marynisty za tom beletrystyki, poezyj lub za utwór dramatyczny. — Nagrodę tę w r. 1935, przyznaną po raz pierwszy, otrzymał Janusz Stępowski za „Legendę o masztowej sośnie“, a w r. bież. — Fryderyk Kuleschitz za „Rejs dokoła świata“, przyczem wyróżniono Janusza Zuławskiego za „Wyprawę o zmierzchu“ (powieść ta na rynku ukaże się w jesieni b. r. — dzisiaj drukujemy jej fragment w „Kamieniu“).

PRZY TOW. LITERATÓW I DZIENNIKARZY POLSKICH w r. bież. powstała Sekcja Pisarzy-Marynistów, w której skład wchodzi zarówno literaci, jak publicyści i naukowcy. Między innymi, notujemy nazwiska następujące: Wanda Brzeska, prof. Bernard Chrzanowski, kpt. mar. Rafał Czeczott, marsz. Jan Dębski, Brunon Dzimicz, inż. Witold Hubert, Zbigniew Jasiński, Wanda Karczewska, Fryderyk Kuleschitz, red. Janusz Lewandowski, Jim Poker, Jerzy B. Rychliński, Janusz Stępowski, red. Stanisław Zadrożny, gen. Marjusz Zaruski, prof. Stanisław Zieliński.



W WIELKIM KONKURSIE POWIEŚCIOWYM „Ilustrowanego Kurjera Codziennego”, trwającym w ciągu dwu lat, a obelśnianym przez 532 prace, — jury w składzie: K. H. Roztworowski, K. Czachowski, St. Pigoń, J. Szczepański i J. Flach — wyróżniło, między innymi, dwie powieści o akcji, związanej z morzem, a mianowicie: Zbigniewa Jasińskiego „Biczmen” (którego fragment drukujemy w bież. n-rze „Kamieny”) i Antoniego Kawczyńskiego „Statek wychodzi z portu”.

Motywacja wyróżnienia Jasińskiego brzmi następująco: „Powieść z życia marynarzy, rozmiłowana w morzu i przygodzie. Talent narracyjny, świeżość tematu, znajomość przedmiotu, żywość stylu, bogactwo doznań marynarskich. Sama fabuła powieściowa raczej skąpa, z nadmiarem wykładów teoretycznych o fachowych stronach życia marynarskiego. Świętą propagandę morza psuje nęcza twardego życia i smutny, artystycznie nieumotywowany los końcowy bohaterów powieści”

Motywacja wyróżnienia Kawczyńskiego: „Powieść z polskiego nadbrzeża, malująca żywo, świeżo i ciekawie port gdyński, jako międzynarodowe środowisko dalekiej żeglugi i wielkich interesów handlowych. Fabuła nieco rozbita na ułamki, ze szkodą zajmującego głównego wątku powieściowego”.

\*

„SZKWAŁ”, pismo, wychodzące od trzech lat, poprzednio będące kwartalnym organem Akademickiego Związku Morskiego R. P., od roku zaś — miesięcznikiem Ligi Morskiej i Kolonjalnej, przeznaczonym dla młodej inteligencji, zamieszcza stały i jedyny w Polsce dział p. t. „Morze w literaturze pięknej”, zapoczątkowany i prowadzony aż doniedawna przez Zb. Jasińskiego. Redaktorem „Szkwału” jest St. Zadrożny.

\*

J. STĘPOWSKI, autor „Legendy o masztowej sośnie”, cyklu wierszy p. t. „Gdynia”, utworu dramatycznego „Na morskich szanłach Rzplitej” oraz szeregu morskich słuchowisk radiowych, kończy powieść, związaną z życiem pilotów portowych i żegluga trampów. Studja terenowe Stępowski odbył rok temu na statku towarowym, a ostatnio przez dłuższy czas bawił na Helu i w Gdyni.

\*

F. KULLESCHITZ, po wydaniu nagrodzonego „Rejsu dookoła świata”, odbywa studja przygotowawcze przed wyjazdem do St. Zjed. A. P., gdzie zamierza pozostać w ciągu całego roku celem zebrania materiału do pracy o charakterze pewnego rodzaju psychoanalizy młodego pokolenia polskiego, wychowanego w kulturze amerykańskiej. Przed wyjazdem do Stanów Kulleschitz prawdopodobnie weźmie ponowny udział w rejsie „Darem Pomorza”

\*

OD SZEREGU MIESIĘCY ZAPOWIADANA antologia Jasińskiego — „Morze w poezji polskiej” — naskutek opieszłości drukarni ukaże się prawdopodobnie dopiero bezpośrednio przed tegorocznym „Świętem Morza”.

\*

WANDA KARCZEWSKA, autorka licznych impresyj żeglarskich, znanych zwłaszcza z ławów „Kurjera Porannego” i „Szkwału”, a będących odbiciami osobistych przeżyć z rejsów pełnomorskich, w których brała udział jako członek załogi, zamierza wydać tom poezyj marynistycznych, pracując jednocześnie nad wykończeniem powieści, mającej się ukazać pod przypuszczalnym tytułem „Ludzie z barku”. Jeden z wierszy tej bodaj jedynej w Polsce kobiety, nie tylko piszącej o morzu, ale i z morzem żytej, drukujemy w bież. n-rze „Kamieny”.

\*

ZEW MORZA pod tym tytułem „Rój” wydał sensacyjną powieść Mieczysława Jarosławskiego, której treścią jest walka o polskie morze i wybrzeże. Powieść ta składa się z dwu części: I „Andrzej Soplica”, i II — „Djonizy Baworowicz”

\*

BRUNON DZIMICZ (pod którym to pseudonimem kryje się jeden z wyższych oficerów naszej Marynarki Wojennej), znany z publicystyki morskiej na ławach „Gazety Polskiej”, autor szeregu sporadycznie publi-

kowanych nowel marynistycznych, przystępuje do druku powieści p. t. „Samotny krążownik”, osnutej na tle wielkiej wojny.

\*

„DWANAŚCIE PRZYGÓD BRUNONA DZIMICZA” -- tak się będzie nazywać nowy cykl opowiadań popularnego w sferach Marynarki gawędziarza, Jima Pokera, autora czternastu książek z dziedziny beletrystyki lekkiej, który pozatem zamierza wydać jeszcze dwie prace: „Zagadka Diany” i „Wyspa kobiet”

\*

ZB. JASIŃSKI, nawiązując do pewnego zdania, użytego przez J. Putramenta w n-rze 16-ym „Sygnałów”, w następnym n-rze tego miesięcznika stwierdza: „Marynistyka w poezji nie musi i nie może być lekceważona przez nie-marynistów. Polska, taka czy inna, reakcyjna czy rewolucyjna, w przyszłości będzie Polską morską. Stąd wszelkie możliwości rozwoju marynistyki wogóle, i stąd wszelkie prawa do miejsca dla niej w poezji. Rzeczą twórców, walczących o nową postawę poetycką, by opanowali i marynistykę. Co dziś jest im jeszcze obce i godne pośmieszków, jutro może stać się bardzo własne i godne obrony najzapaleńszej” „Marynistyka... jest strumieniem ożywczym, bo świeżym, a więc w pewnym sensie -- awangardowym... Stylu nabierze”

\*

BOLESŁAW ŚLASKI, autor „Polskiego słownika marynarskiego”, rojącego się od germanizmów, które w przedmowie usprawiedliwia m. in., zdaniem: „Bez względu na przeciwniki zapożyczek może być tylko ten, kto nie zdaje sobie sprawy z istoty rozwoju języka”, mimo takiej postawy, zaatakował w n-rze 20 „Prosto z Mostu” F. Kuleschitza za użycie terminu rejs w tytule książki. Zaczepiony marynista zareagował na to w n-rze 22 tegoż pisma, wykazując całkowitą bezpodstawność w rozumowaniu Ślaskiego, druzgocącą zaś replikę dał Ślaskiemu w n-rze 4 „Prosto z Mostu” Z. Jasiński.

\*

„KSIĄŻNICA-ATLAS” rozpoczyna druk nowej książki gen. M. Zaruskiego p. t. „Z harcerzami na Zawiszy Czarnym”. Książka przyniesie impresje literackie z przeszłorocznych rejsów szkuner-jachtem harcerskim po morzu Bałtyckim i Północnem.

*Niniejszy zeszyt „Kamieny”, poświęcony w całości morzu, ukazuje się w tej postaci dzięki uprzejmości p. Zbigniewa Jasińskiego, któremu za pomoc w zredagowaniu numeru składamy serdeczne podziękowanie.*

*Zeszyt 10-ty „Kamieny” zamyka rok wydawniczy 1935/36. W lipcu i sierpniu redakcja i administracja nieczynne.*

*Najbliższy numer pisma, rozpoczynający czwarty rocznik, ukaże się w końcu września b. r.*



**SŁOWIK LITEWSKI.** Pod tym tytułem wydała ostatnio Kazimiera Hłakowiczówna u Gebethnera i Wolffa zbiór wierszy. Znakomita poetka, laureatka Nagrody Państwowej w r. 1934 (i m. Wilna w 1930) zebrała na 230 stronach, w kilkunastu cyklach 78 wierszy, z których wiele nie było jeszcze nigdzie drukowanych.

Dużo już mówiono o odrębnej indywidualności poetyckiej autorki „Słowika litewskiego”, o wewnętrznym pojmowaniu codzienności, o etycznym i surowym stosunku do życia i obiektywnym widzeniu świata. Stojąca we wspaniałym odosobnieniu poetka własnym trudem zdobywała wszystko: wizję świata otaczającego i wewnętrznego, tworzywo, któremu nadawała kształty urozmaiconego i bogatego wiersza. Wiersze „Słowika litewskiego” Hłakowiczówny dają najbogatszą skalę jej twórczości.

Od głębokiej, refleksyjnej liryki, którą nacechowany jest cykl „Wnętrze pierścienia” przechodzi poetka do liryki osobistej. W dalszych cyklach znajdujemy ton balladowy, w którym brzmią urzekające motywy fantastyczności, stylizowane misternie w formę pieśni lub prymitywnych baśni ludowych. Cykle: „Wiersze belwederskie” i „Polonia Restituta” pełne są znowu klasycznego umiaru, epickiej powagi, ułożone w spokojny, kolumnowy rytm. Uzupełniają zbiór wiersze okolicznościowe.

Miłość ojczyzny i litewskich jezior i lasów, pełnia przeżyć wewnętrznych — oto leitmotyw każdego bodaj wiersza „Słowika litewskiego”. Lecz czy to będzie pełne egzotyizmu i ekspresjonistycznej wybuchowości uiesienienie, czy posągowa w klasycznym umiarze wizja świata otaczającego — w każdym wierszu czuje się głębię wewnętrznego przeżycia i każdy imponuje doskonałością strofiki i rytmiki.

Ostatni zbiór Hłakowiczówny dopełnia piękny dorobek poetki i wnosi nowy, nieprzemijający wkład do polskiej poezji.

## SPECOWI Z „MYŚLI POLSKIEJ” DO SŁUCHU

Jest taki sobie dwutygodnik. Wychodzi w Warszawie. Ma nader obowiązujący tytuł: „Myśl Polska”. Ale to nie przeszkadza mu systematycznie zamieszczać w rubryce „Pod mikroskopem” beznamiętne, fatalną polszczyzną pisanych elukubracji niejakiego Specy. Jest to spec od tropienia „czerwonego niebezpieczeństwa”, które — jako że strach ma wielkie oczy — węższy na każdym kroku. Ostatnio (№ 9) zaszczycił łaskawą uwagą i nasze pismo. Nie podobał mu się artykuł S. Pollaka („Kamena” № 8-9) o Asiejewie. Że to poeta rosyjski i bolszewik. Tobyśmy od biedy wytłumaczyli. Ludzie, wychowani w niewoli, cierpią na uraz psychiczny pod tym względem. Wciąż myślą kategorjami przedwojennymi (stąd, ni przypiął ni przyłatał, gładzenie Specy o Eulogjuszu, „sajuzie ruskawo naroda” i „isprawniku”) i nie mogą zrozumieć, że Polska niepodległa inaczej się dziś ustosunkowuje do literatury rosyjskiej, niż to było przed r. 1918. I że silna Polska bez obawy dla swego bezpieczeństwa może i powinna się zapoznać ze współczesną poezją sąsiada wschodniego bez względu na jej zabarwienie polityczne i społeczne (nawet, rozumując logicznie, jeśli to wróg — jak tego chce Spec; — tem bardziej). Ale to wszystko ostatecznie można wytłumaczyć. Ale jakim czołem Spec feruje aroganckie wyroki o wartości artystycznej tej czy innej poezji? Jego zdaniem, „Asiejew pod względem literackim jest zerem t. zw. absolutnym” Wyrok bez apelacji. Tymczasem posłuchajmy, co piszą o Asiejewie ludzie, od których prędzej spodziewalibyśmy się zacietrzewienia i krańcowego subiektywizmu w ocenie bolszewickiego poety W № 25 rosyjskiego tygodnika emigracyjnego „Miecz” (z dn. 7 czerwca r. b.) znajdujemy przedruk wiersza Asiejewa „O śmierci”, zaopatrzony m. in. następującą charakterystyką autora: „adın iz bolije zamietnych bolszewickich poetow”. Chyba ten sąd wyszedł z pod pióra kompetentniejszego.

Ale poza tem wszystkim Spec jest jeszcze specem od przekręcania faktów i imputowania myśli, o których się nikomu nie śniło. Nieuczciwy jest zarzut Specy, że krzewimy „kult literatury sowieckiej wzgl. neo (?) rosyjskiej”. Poświęcamy wiele uwagi poezji zach.-europejskiej a prze-

dewszystkiem słowiańskiej. Na łamac „Kamieny” w ciągu trzech lat jej istnienia uwzględniono poezję większości narodów europejskich i wszystkich Słowian, a że przekładów z rosyjskiego (zarówno autorów dawniejszych, jak współczesnych sowieckich czy emigracyjnych) znalazło się stosunkowo więcej niż wierszy czeskich, słowackich, ukraińskich czy serbskich, wypływa to przedewszystkiem z bogactwa literatury rosyjskiej i jej wysokiej wartości. Każdy rzetelny talent znajdował u nas uznanie bez względu na rasę, narodowość czy wyznanie polityczne. Ale Horsta Wessela drukować nie będziemy.

Dalej Pollak w swym artykule nie zaliczał bynajmniej Hoffmanna i to razem z Wilde'm do „szeregu symbolistów francuskich”. Wydrukowane wyraźnie: „Poezja Asiejewa, wywodząc się wedle jego własnego twierdzenia z symbolizmu, odznacza się z początku „inteligencją rafinadą”, całym spadkiem duchowym Mallarmégo, Verlaine'a, E. T. A. Hoffmanna, Oscara Wilde'a z jednej strony, a rosyjskich symbolistów z drugiej”. No, więc jak?

Komicznie wygląda, gdy Spec bierze w obronę rzekomo pokrzywdzonego w „Kamieniu” Tuwima („Boże broń nas od przyjaciół” i t. d.), zaznaczając jednak, że ten prawdziwy poeta „może wzbudzić (i wzbudza) wiele dyskusyj na tematy „rasistowskie”. I znowu nieuczciwa wolta. Każdy czytelnik jasno rozumiał, że zestawialiśmy Tuwima z Czukowskim jedynie jako autorów wierszy dla dzieci. Wiadomo, że można być genialnym poetą dla dorosłych, ale pisać kiepskie wierszyki dziecięce. Czukowskij (też według Specy — „zero”) od kilku lat dał się poznać jako autor świetnych utworów, poświęconych młodocianym czytelnikom, Tuwim wstępuje na tę drogę dopiero teraz. Stąd porównanie. Ze swej strony musimy wyznać, że Tuwim nie nastreczał nam nigdy tematów „rasistowskich”, natomiast wątpliwości tego rodzaju budzą się w nas, gdy czytamy polszczyznę Specy. Jużeśmy raz wykneśli mu w „Kamieniu”, że po polsku nie pisze się „p o d t e m rozumieć” lecz „przez to”. Obecnie możemy zacytować mnóstwo nowych kwiatków: „nie przeskadzka podkreślać swe polityczne sympatje” (№ 9 zam. swych politycznych sympatyj), „literatury sowieckiej wzgl. neo-rosyjskiej” (№ 9 — zam. lub.), „nie dziwimy się pewnym czynnikom międzynarodowym, którzy...” (sic! № 8) „całokształt sprawy nie chcemy sprowadzać do kwestji t. zw. antysemityzmu” (zam. całokształtu — № 6), „n a j w y ż s z y czas” (zam. największy — № 6) i t. d.

A „Myśli Polskiej” poradzilibyśmy wprowadzenie jeszcze specjalnej rubryki, poświęconej nierównie większemu niebezpieczeństwu hitlerowskiemu. (Dlaczego to w Nr. 9 w artykule „Polsko-niemiecki pakt o nieagresji a uroczystości powstańcze w Katowicach” czytamy: „nie chcemy się na tem miejscu zajmować artykułami, ukazującami się tu i ówdzie w prasie niemieckiej. Pominiemy też przemówienia „miarodajnych osób”, które świadczyłyby raczej o „pakcie agresji” a nie nieagresji”. Właśnie trzeba chcieć się tem zająć! Skąd ta dwojaka miara w ocenie obu niebezpieczeństw? I skąd naiwna pewność: „wierzymy w dobrą wolę dotrzymania układu przez czynniki decydujące w Rzeszy“?)

A więc kulturalniej i „gramotniej” redagować dział „Pod mikroskopem”. I wprowadzić rubrykę, poświęconą niebezpieczeństwu hitlerowskiemu. Powierzyć ją dobremu specowi. Zatytułować: „Pod lupą”, a jeszcze lepiej „Gołem okiem”.

P. S. Na wypadek, gdyby p. Spec zaszczycił nas jeszcze odpowiedzią, oświadczamy, że wogóle polemizować z nim więcej nie będziemy. Szkoda papieru, nawet okładkowego.

---

*Z braku miejsca rubrykę „Pisma i książki nadesłane” odkładamy do następnego numeru.*

---

*Wszystkim współpracownikom „Kamieny” składamy najserdeczniejsze podziękowanie za ich bezinteresowną pomoc w rozwoju pisma.*